

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁEM

WARSZAWA, ŚRODA 16 LISTOPADA 1932 ROKU Nr. 11

PŁOMYK

*tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży*



ŁOWICZANKI PRZED KOŚCIOŁEM



DO DZIECI ZE SZKOŁY POWSZECHNEJ W MEDYNI. Czy wysyłałście już zapisane zeszyty do Lasek dla dzieci ociemniałych?

DO HALINY SURAWICZOWNY W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM, Krzyżowa 17. Dziękujemy Ci za bardzo miły liścik, w którym opisałaś wesołą sprzeczkę z braciszkiem, Zygmuśkiem, o „Płomyk” i o „Płomyczek”. Ale nigdy poważniejszych sprzeczek nie ma, prawda?

DO LEONA KAWALCA W POLANÓWCE, POCZTA KRYNICE. Ciekawe są dzieje ula, które tak opisujesz w nadesłanym wierszyku! „Płomyk” posyła Ci serdeczne „Bóg zapłać” za Twoją pracę. Napisz nam kiedy, skąd znasz tak dobrze życie pszczołek?

DO LIDKI BLICHARSKIEJ WE LWOWIE. Czy tak się poprawiała w czasie wakacji, jak ta wymalowana przez Ciebie dziewczynka? Dobrze, że miałaś takie wesołe lato: teraz i siły i zapał jest do pracy!

DO OSKARA HABERKORNA W POZNANIU. Rebusy Twoje dowcipne, szkoda tylko, że przedmioty (szuflada, sowa) nie są starannie narysowane.

DO IV GROMADY BARWNYCH MOTYLI PRZY SZKOLE 136 W WARSZAWIE. Jak to być może, by takie słabe motylki były dzielnymi, solidnymi zuchami? Wytłumaczcie nam kiedy tę tajemnicę.

DO VII KLASY SZKOŁY POWSZ. ŻEŃSKIEJ W WÓLKOWYSKU CENTRALNYM. Kto z Was taki majster, że sporządził prześliczne kostjummy do przedstawienia, które podziwiamy na nadesłanej fotografii? Co sływać u Was nowego?

DO DZIECI ZE SZKOŁY POWSZECHNEJ IM. STASZICA W PIASTOWIE. Bardzo podobał nam się Wasz sposób obchodzenia imienia Waszej kierowniczki: zamiast ofiarowywać jej kwiaty, lub inne prezenty, szyciecie co roku i na jej ręce składacie sukienki i koszulki dla biednych dzieci, odkąd zrozumieliście, że to dla niej większa radość. W tem cała sztuka, gdy komuś kochanemu chcemy sprawić przyjemność, żeby się tem kierować, co j e m u rzeczywiście mile.

DO MARJANA JABŁOŃSKIEGO W WILNIE. Jak Ci się powodzi w szkole? Czy mieszkasz na stacji? Czy dobrych masz kolegów?

DO JANECKI CZAJKOWSKIEJ W ŻYRARDOWIE. Czy otrzymujesz stale „Płomyk”? Chętnie będziemy z Tobą korespondowali, musisz tylko cierpliwie czekać na płomykowe odpowiedzi, bo bardzo wiele dzieci do nas pisuje. Nie licz się więc z nami, pisz, ile razy masz chęć napisać.

DO DORY BACHMANÓWNY W BORYSŁAWIU. Chyba już nie czucie tego zapachu nafty, skoro powietrze Borysławia stale jest nim przesycone? Czy zwiędzałaś kiedy szyb i wiesz, jak się naftę wydobywa i oczyszcza?

DO ALINY GASZTYCHÓWNY W PSARACH. Toś Ty już dawna czytelniczka „Płomyka” i „Płomyczka”, moja Alu! Co Ci się najlepiej tego roku podoba?

DO WANDY CIUPAŁÓWNY W BISKUPICACH. Co sływać u Was w szkole? Jakie są Twoje ulubione przedmioty?

DO RELI ORLICKIEJ W OSTROWIE POZNAŃSKIM. Kto to tam stoi z Tobą na fotografii i w bok spogląda? Siostrzyczka, czy może koleżanka? Czy nadeszły brakujące numery 1—10 z ubiegłego roku szkolnego?

DO MICHAŁA GANKO W NASIŁOWIE, POCZTA LEBIEDZIEW. Jak pięknie musi być u Was na futorze wiosną, kiedy kwitną te drzewa dokoła domu! Co też uprawiacie na Waszych szkolnych grządkach? Jak urodziło Wam tego roku? Co najlepiej podoba się w tegorocznym „Płomyku” Tobie, braciom i kolegom?

DO IRKI KLJÓWNY I WALI ŻUKÓWNY W WOŁOMINIE. Opowiadanie Wasze podobało nam się. Co tam sływać u Was w szkole?

PŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ŁOWICZANIE.

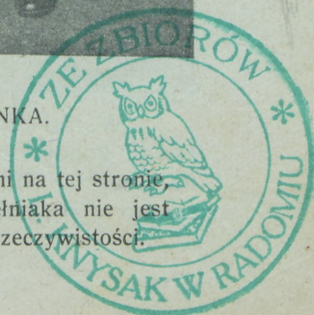
Łowiczaki — zuch chłopaki.
 A dziewczuchy — także zuchy.
 A dziewczuchy także chwaty,
 postrojone w te wełniaki,
 co tak zgrabnie, ręcznie tkane
 i tak zręcznie farbowane,
 że się mienia, niczem kwiaty.
 U Łowiczan wszystko takie
 barwne, strojne i prześlizczne.
 Oj, umieją Łowiczanki
 dziwy robić tam rozliczne!
 Oj, umieją... to i robią:
 ich to przecież wystrzyganki
 każdą ścianę w izbie zdobią.
 A na skrzyniach — malowanki.
 Jakby żywe, jak prawdziwe
 kwitną malowane kwiaty,
 że to... raty!
 Aż się do nich oczy śmieją!
 Aż się od nich robi jasno,
 choć jesienne deszcze leją,
 choć słoneczne blaski gasną.
 Łowiczaki — zuch chłopaki,
 a dziewczuchy — także zuchy,
 bo gdy idą godne święta,
 to tam każdy to pamięta,
 że lśnić musi w każdym kątku
 od ładności i porządku.
 Więc aż dziwo, miły Boże,
 czemu rodzisz się Panience
 w nieozdobnej gdzieś stajence,
 w nieznajomej Judzkiej Ziemi,
 a nie tu, w łowickiej izbie,
 gdzie tak ładnie, między swemi.

E. ZAREMBINA.



ŁOWICZANKA.

Ani na okładce, ani na tej stronie,
 barwa łowickiego wełniaka nie jest
 taka piękna, jak w rzeczywistości.



HARCERZE 11-GO LISTOPADA 1918 ROKU.

Dokończenie.

Wtem niedaleko Wilczej ujrzeni idący im na spotkanie oddział niemiecki, dobre pół plutonu. Niemcy maszerowali szybko z karabinami na ramionach, rzucając bystre spojrzenia na gromadzące się na chodnikach tłumy.

— Wiecie co, rozbroimy ich!... — zaproponował nagle towarzysz Stacha.. — Julek niech leci po dorożkę, żebyśmy mieli gdzie składać broń, a wy weźcie na rękę karabinki i chodźcie ze mną!

— Słuchaj, to szaleństwo!... Ich jest 25 i widzisz, jak sprawnie maszerują... To muszą być starzy żołnierze!... — zauważył drugi skaut.

— Jeżeli starzy, tem lepiej!... Pewnie już mają dość wojny!...

— A my spróbujemy!...

— Juści, spróbujemy!... — wykrzyknął robotnik. — Ja zaraz wyjmuję szablę!

— A ja radzę iść najpierw na punkt zborny i stamtąd dopiero większymi oddziałkami...

— Oni tymczasem też się będą gromadzili! Nic z tego, uderzymy zaraz. Co za triumf będzie, kiedy przywieziemy broń...

— Rozumie się!... Idziemy, idziemy!... — przynaglał Stach.

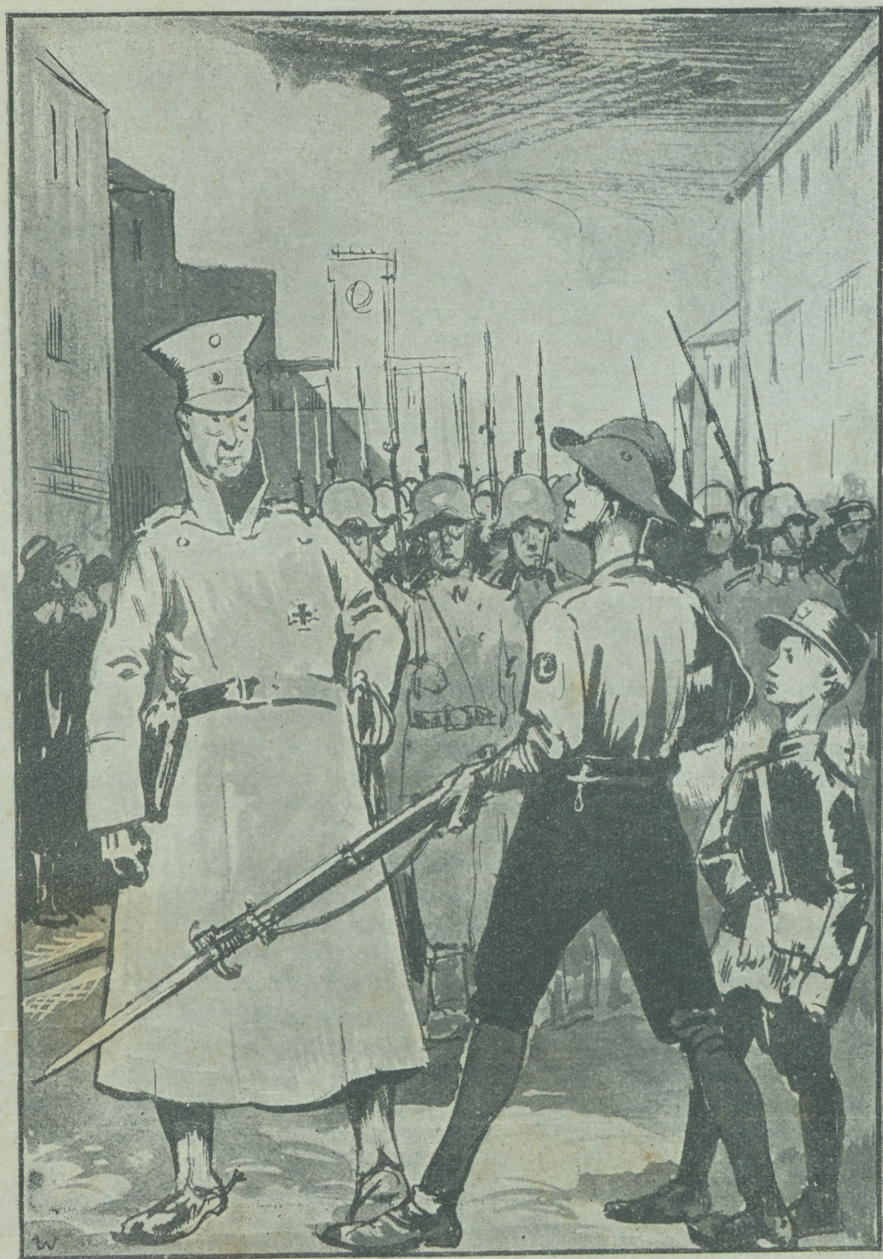
Położyli karabinki na dłoniach na „gotuj broń” i stanęli naprzeciw idących Niemców. Ci zatrzymali się natychmiast. Starszy skaut machnął białą chusteczką i zbliżył się do podoficera. Niemiecka ich rozmowa niedługo trwała, ale wystarczyła, żeby zebrać wokoło oddziału gęste mrowie podnieconych ludzi. Podoficer kręcił głową, wruszał ramionami, oponował, ale żołnierze już zdejmowali z ramion karabiny i opierali je kolbą do nogi. Robotnik podszedł do pierwszego i broń mu zabrał. Julek właśnie przyprowadził dorożkę, karabinek położył w poprzek siedzenia. Niemcy z gniewnemi, zachmurzonymi twarzami oddawali karabiny bez oporu, paru chłopaków pomagało Julkowi układać je na dorożce, podczas gdy skauci wciąż trzymali broń wpogotowiu, stojąc przed rozbrojonymi. Odbierali nie tylko broń, ale i ładownice, jak to im poradził robociarz. Rozbrojenie trwało nie dłużej nad dziesięć minut, poczem Niemcy odmaszerowali pośpiesznie na Wiejską, a harcerze odjechali wraz z bronią wśród okrzyków przechodniów:

— Niech żyje Polska! Niech żyje P. O. W.!...

Na zbornym punkcie radość ze zdobytej broni była nieopisana, bo ochotników zgłaszało się dużo, ale karabinów było mało, a amunicji wcale prawie.

— A tu może się zacząć lada chwila ciężka przeprawa. Niemcy zamknęli się na Ratuszu i w Zamku... Słyszycie strzały?!...

Wśród zebranej młodzieży huczało, jak w ulu. Co chwila przylatywali gońcy z nowinami. Starszyzna skautowa rozmawiała tajemniczo na uboczu. Sformowane oddziały pod dowództwem zastępowych rozsyłano w rozmaitych kierunkach.



Niemiecka ich rozmowa niedługo trwała...

— Cytadela zdobyta!... Poddali się!... Wystać tam zaraz ile tylko się da dla obsadzenia bram i magazynów!...

— Nie mamy broni!...

— Idźcie choć z gołemi pięściami, choć z kijami!... Udawajcie, że macie rewolwery!...

— Byczo!... Dawaj pochwę, choć pusta, przyprowadzę ją sobie!... Starszy drużynowy odprowadził Stacha na stronę:

— Widzisz, jak to dobrze, że przywiozłeś broń!... Musimy działać szybko, żeby Niemców zaskoczyć, nie pozwolić im się skoncentrować... Nie dalibyśmy rady!... W samej Warszawie jest ich do 30.000. Całe szczęście, że komendant Piłsudski wrócił...

— Jakto?... Wypuścili go Niemcy z Magdeburga?

— Tak, wczoraj przyjechał. Mieszka na ulicy Moniuszki Nr. 2. Tłumy tam wałają... Wystaliśmy pół zastępu, żeby pilnował porządku i bezpieczeństwa!

— Jakże tak? Niemcy zgłupieli zupełnie, czy co??!...

— Komendanta uwolniła właściwie rewolucja... Tam w Berlinie grube rozruchy!... Nikt już nie chce wojny!... Tutejsze Soldaten Rathy (Rady żołnierskie), które znają Komendanta z wojny, bardzo się ucieszyły... Komendant obiecał, że pozwoli im wrócić bezpiecznie do domów, jeśli złożą broń i poddadzą się bez oporu...

— No i co?

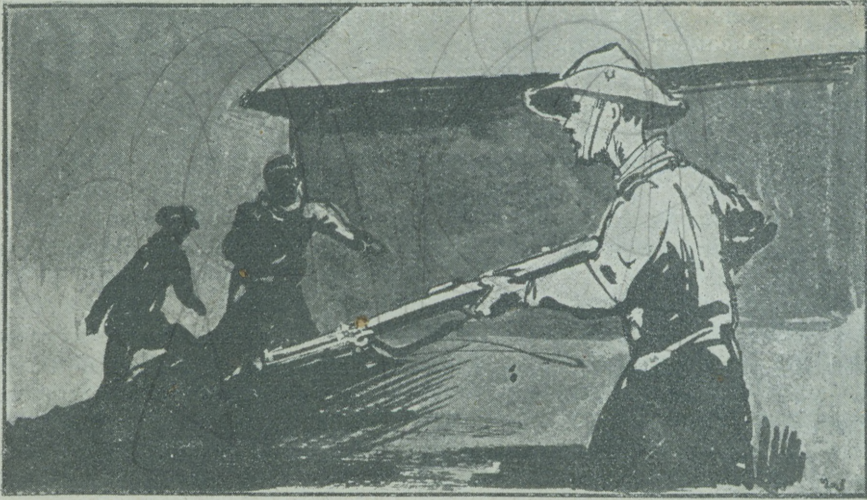
— Poddają się, ale mamy inny kłopot: musimy obsadzić strażami magazyny wojskowe, składy broni i amunicji, zapasy ubrań i żywności... Jest tego moc... Są niezbędne dla przyszłej armii polskiej, a tymczasem Niemcy umyślnie zostawiają wrota otwarte i zachęcają motłoch do rabunku, żeby jak najmniej dostało się żołnierzowi polskiemu!... — biadał przed Stachem drużynowy.

Brano więc do pomocy wszystkich, którzy tylko mogli dźwignąć karabin. W ten sposób został wartownikiem nawet Julek. Z wielką dumą, z karabinem na ramieniu maszerował wzdłuż niskich, szarych, nieskończenie długich budynków na Prądze. Nie miały okien, jeno drzwi co kilkadziesiąt kroków, zamknięte na sztaby z wielkimi kłódkami.

We dnie, choć Julka nogi od chodzenia bolały i ciężył mu bardzo karabin, czuł się jako tako. Głód mu tylko dokuczał, bo choć Stach zostawił mu cały wzięty z domu chleb, było tego za mało na obiad i kolację. Tymczasem zapadł zmierzch, a nikt się do niego nie zgłaszał i nie przyprowadzał zmiany... Zapomniano o nim widocznie, albo może Niemcy opamiętali się i teraz tam w Warszawie się biją...

Raz po raz spoglądał na lunę, rozgorzałą nad miastem na nocnym niebie i nasłuchiwał... Leciał stamtąd ku niemu z podmuchem wiatru głuchy, tajemniczy mamrot, ale strzałów nie było słycać...

Wolnym krokiem obszedł znowu dookoła swój nieskończenie długi magazyn. Wartowników powinno było chodzić tutaj conajmniej trzech, tymczasem postawiono jego jednego... Jakże tu cicho!... Zdaje się, iż niema w pobliżu żywej duszy, a jednak kazano mu dobrze wytrzeszczać



... przy ścianie czaiły się dwa cienie.

oczy i nie podpuszczać nikogo do budynku na dziesięć nawet kroków... Co tam może być w tych magazynach?... Może mąka, a może proch!... Gdyby kto podpałił to wszystko — to i on sam i wszyscy wokoło wylecieliby w powietrze!... Jak upilnować?!... Budynek taki długi, że końce jego giną w ciemnościach... Żeby mu zostawili choć trąbkę, ale tak nawet zawołać na pomoc nie może... Trzeba pilnować!...

Zerwał się z ławeczki, na której przysiadł zmęczony, i powłókł się ciężkim krokiem ku najgęstszemu ciemnościom, pokrywającym puste, pozamiejskie place... Wtem gdzieś niedaleko buchnął strzał raz i drugi!... Drgnął i karabin opuszczył na lewą dłoń... Przeszyło go coś, jak radość!... Aha, więc są tu gdzieś blisko ludzie... Nie jest tak strasznie samotny!... A może to napad, może się biją?... Co uczyni, jeżeli nagle pojawią się przed nim wielcy brodacze, zuchwali i okrutni?... Będzie strzelał!... To się rozumie... Będzie strzelał!... Wie, jak trzeba mierzyć... Stach mu pokazywał nieraz. Gorzej z nabijaniem... Tego dobrze nie wie... Jeszcze przy świetle, toby może sobie poradził, ale w takich ciemnościach?!... Choć oko wykol, ale cóż robić? Wystrzela ładunki, które mu Stach założył do magazynku, a później będzie opędał się kolbą. Nie dopuści jednak nikogo do zapasów Polski... A jeżeli ich będzie dwóch, trzech... dużo? Przecież bandyci tak się nazywają, gdyż chodzą bandami!... Co wtedy?!... Ha, wtedy zginie!... Nie ustąpi jednak, jednak nie ustąpi!... Zawierzono mu, zaufano!... On tu jest na straży honoru Polski!... Nie wolno w Polsce rabować!... Musi być porządek!

Ach, gdyby choć kawałeczek chleba, albo szklaneczkę gorącej her-

baty z cukrem, a nie z obrzydliwą sacharyną. Jutro, kiedy wróci do domu, wypije cały imbryk!... Cyt!... Coś się rusza na tamtym końcu... Pewnie pies, bo człowieka byłoby widać na tle tej rudej mgły, prześwietlonej miejskimi ogniami... Trzeba jednak pójść, zobaczyć!...

Ruszył krokiem miarowym, żołnierskim, wpięrając uważne oczy w ciemności i nadstawiając pilnie uszu... Cisza!... Nie, to mu się pewnie przywidziało. Trzeba jednak obejść dookoła, bo choć budynek nie ma z tamtej strony drzwi, podpalić go tam przecież również można...

Zawrócił za węgiel i nagle skamieniał: przy ścianie czały się dwa cienie.

— Kto tu?... Wynosić się, bo strzele!...

— Ah ty burżujski wyskrobku!... Chcesz strzelać do spokojnych ludzi!... — krzyknęła, odklejając się od ściany postać. — Lepiej oddaj swoją rurę i idź do cholery!... Nic ci nie zrobimy. Ino sobie odknaj!... Słyszałeś!...

— Nie wolno do magazynów zbliżać się... Wynosić się, zaraz wynosić! — powtarzał spokojnie Julek, cofając się przed następującymi cieniami. Już był blisko węgła i zdawało mu się, że gdy tam zaskoczy, będzie mu łatwiej się bronić z ukrycia, a może nawet napastnicy nie odważą się wychylić i pójdą sobie pod wpływem jego groźby, gdy nagle dostrzegł, że cała grupa ludzi łomoce nieopodal do drzwi magazynu. Zmierzył się więc i nacisnął cyngiel. Huk i targnięcie strzału ogłuszyły go. Mimo to, widząc, że część napastników skoczyła ku niemu, chyląc się nisko ku ziemi, drugi raz pociągnął za cyngiel. Zapomniał jednak całkowicie o tych z tyłu, to też z przerażeniem poczuł ciężką łapę na swoim ramieniu i piekący ból w boku... Trzeci raz strzelił już w powietrze, padając na ziemię...

Kiedy przyszedł do siebie, był w szpitalu i matka tklawie pochylała się nad nim...

Wacław Sieroszewski.

JUŻ SIĘ JESIEŃ SPAKOWAŁA...

*Już się jesień spakowała
do dalszej podróży.
Wszystkie jabłka pozbięrała
do walizki dużej.
Gruszki, śliwki i kawony
wzięła do kuferka
i ku drzewom zasmuconym
jednym okiem zerka.*

*Wiatr-pośługacz żywo zmiata
postrącane liście,
już oczyścił kawał świata
na zimowe przyjście!
Nakazuje wyższa władza,
by przyspieszyć kroku,
więc się jesień wyprowadza
do przyszłego roku!*

J. GILLOWA.





6)

ZACZAROWANA LATARENKA.

Napisata Aleksandra Aniela Wolska.

Razu pewnego, wracając z wojny dalekiej, kneź Wityma z ludźmi przodem do grodu wysłał, a sam jechał powoli w zadumie głębokiej. Znalazłszy się na Starem Uroczyisku, ujrzał dziewczęcą postać, która na kopcu, usypanym nad prochami knehini Tomiry, miseczki z jadłem ustawwszy, kwiaty rozrzucała. Kneź konia zatrzymał, przyjrzał się lepiej, oczy od słońca przysłoniwszy, i zobaczył siedzącego na zwalonym pniu Homira. Domyślił się tedy, że to księżniczka Milada mogiłkę matki stroi.

Dawno, z rok może Milady nie-widział, w objazdach po swej ziemi będąc. Zdumiał się więc ogromnie, kiedy zsiadł z konia, a do Milady podszedł, gdyż przez ten czas księżniczka tak się stała do matki podobna, że nie wiedział już, czy to Tomira - knehini, czy Milada - córuchna przed nim stoi.

Tak jak i matka piękną była nad podziw. Złoto-rude włosy tak samo do ziemi sięgały, lecz gwiazdziste poważne oczy, nie z miłością, lecz z żalem patrzyły w jego serce z tej twarzyczki, jaśniejszej krasą. Zrozumiał to spojrzenie kneź. Sumienie głośniejsze, niż dotychczas, zaczęło mu czynić wyrzuty:

— Tak-to dotrzymałeś przyrzeczenia knehini? Tak dbałeś o to dziecko, że oczy twoje rok i dłużej jej nie widziały? Tak-to kochałeś córuchnę, że kazałeś jej z drogi zejść, sierocie bez ojca i matki w obcym, dalekim kraju tęskniącej, a strapionego serduszka dobrem słowem nie cieszyłeś?

Skrucha załała serce kneziowe. Zdjął kołpak z głowy, pochylił się przed Miladą i powiedział wzruszonym głosem:

— Tyżeś to, dziewczeczko?

— Ja, kneziu. Jenościę w swoim smutku zapomnieli o mnie, więc wam dziwne, że się dziewczęciem stała — odpowiedziała księżniczka Milada.

Taka od niej powaga biła, że kneź nie wiedział, jakie słowa miał kłaść a przekładać, by zjednać sobie znowu to utracone, a tak kiedyś miłujące go serduszko. Wyciągnął wreszcie ramiona i powiedział z całego skruszonego serca:

— Przebac, córuchno. Przebac, że o sobie jeno myślał, zamiast twój żal po matuchnie utulać, uspakajać. Ale teraz żadna już krzywda ode mnie cię nie spotka, nie dokuczy.

Miladę wzruszyły słowa knezia, jego postarzała, pociemniała twarz i nie odrzuciła wyciągniętych ku sobie ramion. Kneź, przywitawszy ją, obrócił się żywo, na konia swego ją posadził, lejce ujął i do zamku prowadził, wypytując, gwarząc, opowiadając.

A za nimi cicho, zdaleka stąpał Homir, radując się a ciesząc, że kneziowe serce znowu się ku pasierbicy zwróciło. Cierpiał - bo wielce nad tem, że po odejściu Tomiry-królowej kneź o dziewczynce zapomniał. Dbać o nią dbano. Ale prócz niego i klucznicy Dobrochny — księżniczka ubogich jeno widywała, darząc ich czem mogła, a biedne jej serduszko dwojaką tęsknotę cierpieć musiało: za matką, co już nigdy wrócić nie miała, i za ojcem - ojczymem, który, zdawało się, kochać ją przestał.

Teraz znów dawne zaczęło się życie, gdyż kneź nieustannie przysyłał po księżniczkę, a kiedy z Dobrochną przychodziła, rad był jej nieba przychylić. Księżniczka pośród serdecznej radości stała się jeszcze bardziej gotowa sercem się dzielić z najuboższymi tak, jak ją tego matczynnie nauczyła i Homir. Były jednak chwile, że Milada, zapatrzywszy się na wschodnią stronę szerokiego nieba, mówiła do Homira: „Dobrochno! Tutaj, przyjacielu najdroższy, ale wciąż czekam — wyglądam kiedy wrócę do kwiatów mojej prawdziwej ojczyzny. Matczyna to przyrzekła.

— Wrócisz, dziecino, wrócisz — odpowiedział Homir. — Rycerz z dalekiej krainy przyjedzie po ciebie z za siedmiu rzek, bo w jego rodzie jedno jest tylko słowo, jedno przyrzeczenie. I ty mu jeno oblubienicą będziesz, a żoną.

— Ale kiedy? Kiedy, Homirze?

Nie mógł na to odpowiedzieć Homir, więc Milada nie przestawała patrzeć oczyma myśli w swą nieznaną przyszłość.

*

Wśród zabaw i pracy, smutku i wesela czas, jako zwykle, szedł — biegł — szedł się święto Światowida, bożka kamiennego, którego czcił cały naród Polan, a który - to czterema twarzami na cztery świata strony nieustannie spozierał swemi olbrzymimi oczyma. Gwiazdciarze, guślarze, wieszczki, wieszczkowie, ludu siła i kneziowie zaczęli pod gród Kraka ściągać z całego kraju, bo dziwnie szczęśliwy kneź Sława rozesał wici, że w tym roku świętowanie wyprawi takie, jakiego dawno już nie było. A sam wieczorami pod wieżą księżniczki chodził, w wysokie okno patrzył, gdzie migotało łuczywo. Dumę widać radosną dumął, bo twarz w jaśni księżyca miał uśmiechniętą, szczęśliwą.

Świętowanie odbyło się wspaniale. Przed Światowidem, przystrojonym w kły niedźwiedzie i żubrze, w orle pazury, w wieńce, kłosy i kwiaty — dziewice, służbie bożka poświęcone, śpiewając nieustannie, znicz-ogień podtrzymywały. Wieszczkowie, z Bogowitem na czele, ofiary z ziemiopłodów wszelakich, z zieleń i wonności na płonący ogień rzucali i przyjmowali dary ze zboża, chleba i miodu. Wieszczki i gwiazdciarze wróżby ogłaszali, a potem zebrany lud zabawiał się taniami, paleniem ognisk. Wraz w raz wybuchały podziękowania dla knezia Sławy, który obfitą ucztą dla wszystkich zgotował:

— Żywie! Żywie!

Dalszy ciąg nastąpi.

GRAJEK.

Biedny ja grajek,
 dla was gram, dzieci!
 Każda z mych bajek
 rwie się i leci
 nad łąki, pola —
 i do was, dzieci:
 taka ma dola!
 Nie dbam ja o to,
 żem niebogaty,
 nie dbam o złoto,
 nie mam swej chaty.
 Mam skrzypki oto,
 droższe nad złoto!
 Pieśni, piosenki,
 baśnie, bajeczki
 ze strun lirenki,
 jako listeczki,
 lecą daleko
 nad wioską, rzeką;
 wietrzyk je niesie
 po cichym lesie.
 Może niejedna
 z tych pioseneczek,
 samotna, biedna,
 jako kwiateczek,
 wśród ludzi zginie,
 albo popłynie
 aż hen do morza
 i w niem zatonie...
 Lub śród bezdroża,
 w dalekiej stronie,
 zamrze z tęsknoty,
 jak promyk złoty.
 Wśród kart książeczki
 inna zostanie:
 będą dziecięcki
 miały czytanie.
 Piosnka zasmuci
 i rozweseli.
 Dziewczę zanuci
 ją przy kądzieli.
 A inna jeszcze
 tak się rozwieje,
 jako rozwiewa
 życie — nadzieję...



...śpiewajcie moje skrzypki ve...

Jesienne deszcze.
Szemrze ulewa.
Piosenki lecą,
jak liście z drzewa.
To gwiazdką świecą,
to błyszczą tęczą,
to dzwonią śmiechem,
lub też zadźwięczą
przeszłości echem.
Czasem się żalą
skarg cichych falą:
kiedyż to, kiedy

nie będzie wcale
na świecie biedy?
I takie jasne
dni się wyprzedzą,
i ludzie sobie
braćmi już będą?...
Jak pszczołek roje,
mkną piosenki nowe
od chaty progu.
Śpiewają moje
skrzypki lipowe
ludziom i Bogu.

M. CHEŁMONSKA.

POCIESZAM MAMĘ.

przeszedłem do
domu,
oczy.
u
y

najlepszym mym uśmiechem.
Uśmiechnąłem się —
a ręce mamy od pracy szorstkie
i surowe
objęły mocno moją głowę:
— Moje ty drogie dziecko!
Twój uśmiech dla mnie, jak
słoneczko,
co świeci z poza ciemnej mgły!
Częściej uśmiechaj się tak do
mnie ty.

I mama

uśmiechnęła się sama.

Obeschły mamie łzy.

E. ZAREMBINA.

M N I C A.

e lekcje?... — narzekał Staś.
chodziła siódma godzina. W jadalnym
raz będzie kolacja, potem mycie i spać!

zrzucone książki. Na boku leżała jedna,
o przyniesiona przez ciocię. Ale gdzie

tu myślec o...

Na nic, ale to nic niema czasu.

— Okropne takie życie — jęknął Staś.

Smutne te rozmyślenia przerwał dzwonek.

— Któż to może być — pomyślał Staś, — co ma czas na wizyty?

Do pokoju wbiegł Romek. Roześmiany, zaczerwieniony od ruchu na powietrzu.

— Serwus! — zawołał wesoło. — Wracając z ogrodu, wpadłem do ciebie.

— Z ogrodu? — zdziwił się Staś. — To lekcyj nie odrabiałeś?

— Dlaczego nie miałem odrabiać? — zapytał zdumiony chłopiec. — Przecież ja zawsze odrabiam. A przyszedłem do ciebie, bo skończyłem już pożyczoną od ciebie książkę. Dawaj drugą — strasznie lubię czytać!

— To ty masz czas książki czytać? — szepnęła, wytrzeszczając na kolegę oczy, Staś.

— A co? To niby ty czasu nie masz?

— Żebyś wiedział: od tygodnia nie miałem książki w rękę, a jest djabło ciekawa — odpowiedział Staś.

— No, ja mam tu moją tajemnicę — powiedział Romek, pokazując na swą lewą kieszeń na piersiach.

— Co, masz tajemnicę w sercu?

— Nie, poprostu w kieszeni.

To mówiąc, wyjął porządnie złożoną ćwiartkę papieru, całą polinowaną i zapisaną drobnymi literkami.

— Pokaż, co to takiego? — zawołał Staś, wyciągając rękę.

— Oho, ostrożnie, ostrożnie — powstrzymał Romek kolegę, — trzeba z szacunkiem podchodzić do mojej tajemnicy.

Pochylili się obaj nad kartką.

Była ona cała porubrykowana. Po lewej stronie wypisane były kolejno wszystkie dni tygodnia. U góry ciągnęły się linie, a w nich cyfry.

— To wygląda, jak rozkład godzin — powiedział w chwili Staś.

— Zgadłeś, Stachu — odparł Romek. — To moja tajemnica. Cały dzień mam podzielony na godziny. Każda godzina przeznaczona jest na jeden z mych obowiązków. Trzymam się tego planu, to też wszystko mam zrobione w swoim czasie, o niczem nie zapominam i... mam czas na wszystko — zakończył radośnie.

— To jest naukowa organizacja pracy! — dodał tajemniczo.

Staś milcząco patrzył na plan kolegi.

Na drugi dzień, nad stolikiem Stasia wisiała kartka polinowana, pisana, a Staś z pogodną miną odrabiał lekcje. Wiedział, że o 6-ej o 7-ej ma czas przeznaczony na czytanie. Siadłszy w swoim czasie do lekcji, odrabiał już ostatnią.

— Bycza jest ta tajemnica Romka — myślał, kończąc ćwiczenie.

Janina Kostro.





...umyte garnki, miski...

TAK TU MIŁO.

— Tak tu u was, kumciu, miło,
że wciąż do wasbym chodziła!
W naszej, starej chałupinie
brudno, ciemno, jak w kominie.
Aż mi wracać brak ochoty!
— A rąk nie masz do roboty? —
Zamyśliła się Jagienka:
jedna ręka... druga ręka...
— Ach! jak wezmę się do pracy,
zaraz będzie tam inaczej!
Myju, myju, szoru, szoru,
wszystko sprzątnę do wieczora.
Trochę wapna... trochę wody...
Suknię zdejmę, sukni szkoda!
Chlapu, chlapu po suficie,
wybielone znakomicie!
Szoru, szoru po podłodze,
pot się leje już niebodze!
Ale za to w każdym kątku,
aż się świeci od porządku.

Już umyte garnki, miski,
stół, szafeczka, stołek niski.
Stół przykryty białem płótnem.
— Jeszcze sobie kwiatów utnę! —
Nim skończyła swą robotę,
zeszło z nieba słońce złote,
powracali z pracy ludzie,
po swej pracy, po swym trudzie.
Przyszli Jagny ojciec z bratem,
nie poznali swojej chaty.
Zaglądają przez okienko:
— Gdzież to jest nasz dom,
Jagienko?
— Tu, tatulu. Nie widzicie,
jak sprzątnęłam znakomicie?
— Co się stało, co za dziwy?
A to jakiś cud prawdziwy!
Jakże to się tak zrobiło?
Ach, jak teraz u nas miło!



Zaglądają przez okienko...

Zarumieni się Jagienka,
jak jagódka, jak wisienka
i tak sobie obiecuje:

— Codzień izbę wyszoruję!
Żeby tatuś po swej pracy
mógł odpocząć w czystej chacie!

J. Majewska.

11) BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisała E. Szelburg-Zarembina.

W administracji kurjera urzędniczka miała wiele kłopotu z tem ogłoszeniem osoby, która chciała wziąć na własność chłopczyka.

Przez trzy dni zgłosiło się do administracji sto dwadzieścia sześć matek z niemowlętami w wieku od jednego miesiąca do półtora roku. Sto dwadzieścia sześć matek chciało oddać swoje dzieci! Tyle ich! A przecież każda matka kocha swoje dziecko! A przecież każda matka zrobiłaby wszystko, aby dziecko swoje mieć przy sobie zawsze, wciąż. Tylko czasy przyszły takie, że już jest im strasznie źle, tylko, że już nie mogą, no, nie mogą w żaden sposób dzieci swych ani wykarmić, ani odziać...

Więc ze smutkiem, z rozpaczą, ze łzami i... z bolesną ulgą — chcą je oddać, te maleństwa, w cudze, ale dobre ręce, komuś obcemu, tak,



Piotruś stał tutaj sam...

ale temu, kto je wykarmi, kto je, to dziecko najmilsze, od nędzy, od śmierci głodowej uchroni, kto je będzie mógł wychować!

I to zrezygnowanie ze swoich przyrodzonych, matczynych praw do dziecka, zrezygnowanie ze swojej do tego rodzonego dziecka miłości — jest największą matczyną miłością, jest bohaterstwem.

Matki te płakały, a dzieci, które miały na rękach, te malutkie dzieci nie rozumiały nic i uśmiechały się.

Piotruś stał tutaj sam, był duży i — rozumiał. Piotruś bez łez podniósł smutne oczy na panią urzędniczkę. Spytał:

— Czy to tu jest ta pani, która chce wziąć chłopczyka na własność?

— Tej pani tutaj niema. Trzeba tylko zostawić dokładny adres — odpowiada urzędniczka administracji.

— Dziękuję — mówi mały interesant, — to ja zaraz przyniosę.

Po dwudziestu minutach wraca Piotruś i podaje urzędniczce kartkę z zeszytu z adresem i nazwiskiem:

„Piotr Kwieciński, ulica..... numer.....

— A duży ten chłopczyk? — pyta urzędniczka.

Piotruś podnosi na nią jasne oczy, pociemniałe z tłumionego wzruszenia. Mówi cicho, ale bardzo spokojnie.

— To ja jestem, proszę pani. Bo nas jest w domu czworo i mamusia nie może wydołać na wszystkich.

— A nie będzie ci się przykrzyło u obcych? Przecież będziesz tęsknił do mamusi, do braci, do siostrzyczki?

— No tak, ale cóż? Jak ja się już oddam na własność, to muszę nie tęsknić.

Tak powiedział Piotruś i prędko odwrócił twarz, bo nieposłuszne dwie łzy przeciekły mu przez rzęsy. Otarł je szybko i czekał z bijącym sercem na odpowiedź.

Urzędniczka rozmówiła się z kimś przez telefon. Potem zwróciła się do stojącego wyczekująco Piotrusia.

— Usiądź sobie, chłopczyku. Za kwadrans przyjdzie tu jeden młody pan i zabierze cię do tej pani.

Piotruś usiadł.

Po kwadransie rzeczywiście wszedł młody mężczyzna, ale to nie był zwyczajny pan, to był, Piotruś poznał od razu, porucznik marynarki.

Porucznik przywitał się z urzędniczką i uśmiechnął się do Piotrusia, jak do dobrego znajomego. A po drodze stali się już rzeczywiście dobrymi znajomymi, bo Piotruś wszystko opowiedział młodemu człowiekowi w marynarskim mundurze. I nie mogło być inaczej: p. Tadeusz Słoneczyński miał takie wesołe oczy, że trzeba mu było od razu zaufać.



...stali się dobrymi znajomymi...

— I czy pan myśli, że mnie ta pani zechce? — spytał wkońcu Piotruś. — Tu jest dużo chłopców do wyboru, tylko malutkich takich, jak nasza Marysia. A za takimi malutkimi dziećmi mamy bardzo tęsknią. I takie małe dzieci nie mogą tak naprawdę być nazawsze zabrane od swoich prawdziwych mam... Ja to wiem, bo nasza Marysia jest taka...

— Widzisz, Piotrusiu — powiedział wesoło pan porucznik i mrugnął okiem, jakby komuś płatał figla. — Nie wiem na pewno, czy tak od razu spodobaś się mojej siostrze, ale myślę, że tak, że weźmie cię z pewnością, więc się nie martw.

I zdziwił się pan porucznik, bo Piotruś wyglądał tak, jakby teraz właśnie zaczął się dopiero naprawdę martwić.

Dom, do którego wprowadził towarzysz Piotrusia, był to śliczny nowozbudowany dom o prostych, jasnych ścianach, dużych oknach i ogromnym słonecznym tarasie.

Z jasnego hallu, wyłożonego barwnymi kilimami, prowadziły rozsuwane szklane drzwi do dużego różowego pokoju. W tych drzwiach właśnie stała teraz śliczna, młodziutka pani w jasnej muslinowej sukni w wielkie bladozielone kwiaty. Stała uśmiechnięta, naprzód podana, wyczekująca i cała promienna niecierpliwą, ciekawą radością.

— Gdzież jest ten chłopczyk? Czy masz już tego chłopczyka dla mnie, Ted? — zawołała piękna pani, widząc wchodzącego brata, a głos jej wysoki był czysty i dźwięczny, jak głos dziwnego ptaka.

— Tak, Adelinko — powiedział porucznik i znowu mrugnął okiem, jakby się cieszył z figla. — Tak, Adelinko, oto on — i wysunął przed siebie onieśmielonego, czerwonego Piotrusia.

Śliczna pani poruszyła się gwałtownie, aż zakółtały się wszystkie bladozielone kwiaty na muslinowych falbanach jej sukni, poruszyła się gwałtownie i otworzyła szeroko swoje piękne, orzechowe oczy w brunatno złotych rzęsach.

— Ted! — rzekła z wyrzutem — Ted! zażartowałeś sobie ze mnie. Przecież to nie jest niemowlę? Ja chciałam mieć niemowlę. Cóż teraz z tem wszystkim zrobię? — i ukazała ręką za siebie, na różowy pokój.

W pokoju tym, na lśniącym czystością cytrynowym linoleum stały troskliwie ustawione maluchne, białe lakierowane krzeselczka dokoła niziutkiego stołu, pełnego nowiutkich klocków i kolorowych piłeczek. Stało też tam łóżeczko, zasłane białą i różową pościelą, a obok na taboreciku leżały związane wstążkami pieluszki i śliniaczki.

Pan Ted przestał mrużyć oko i już głośno śmiał się.

— Ano, to się oczywiście dla naszego kawalera nie nadaje.

Pani Adelinka była najwidoczniej zawiedziona i urażona.

— Ty zawsze tylko żartujesz, Ted — mówiła do brata, ale patrzyła na Piotrusia i coraz bardziej wydymała usteczka. — Ten chłopczyk taki duży, tak źle ubrany i niezgrabnie poruszający się na woskowanych taflach posadzki, zamiast spodziewanego rozkosznego malutkiego dzidziusia... Nie!

Dalszy ciąg nastąpi.

11)

TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Matachowski.

Poczęli cichutko sunąć ku wyjściu, gdy nagle uderzył ich dziwny zapach, coraz silniejszy i dokuczliwszy. Kłęby dymu buchnęły przed nimi i za nimi. Ali poczuł dziwne rozdrażnienie i niepohamowaną chęć do śmiechu. Zrozumiał, co to było. Palono haszysz, aby ich odurzyć i owo odurzenie wyrażało się śmiechem. Dał rozkaz szybkiego biegu w stronę wyjścia i wybuchnął śmiechem, podjętym przez towarzyszy. Żadnego też wrażenia nie zrobiło na nich pojawienie się Nazira w otoczeniu kilku uzbrojonych sekciarzy. Ci rzucili się i skrępowali Alego i jego towarzyszy, którzy się zupełnie nie bronili, śmiejąc się tylko serdecznie. Wrzucono ich do jednej z jaskiń, które były zamykane na wrzeciędzie i tam przesiedzieli do wytrzeźwienia z durmanu haszyszowego¹⁾. Nie wiedzieli, co z nimi zamyśla Nazir, chociaż przypuszczali, że nie będzie się śmiał targnąć na świętą osobę wodza. Odpowiedź przyszła prędzej, niż przypuszczali. W trakcie rozmowy usłyszeli odgłos chóralnego śpiewu i stąpanie wielu nóg. Wkrótce też rozwarły się drzwi ich więzienia i ukazała się procesja dziwacznie poubieranych sekciarzy, niosących pochodnie. Na czele ich kroczył Nazir w purpurowym płaszczu i złotym diademie na siwych włosach.

— Nędznicy! — zawołał arcykapłan sekciarzy. — Chcieliście zbrukać i zbeszczyć świętą wodę, co płynie z serca ziemi! Za karę zostaniecie złożeni na ofiarę bóstwom podziemnym i wrzuceni do świętej rzeki. Niech ona wymierzy wam sprawiedliwość!

Porwano ich pod ramiona i, mimo oporu, poprowadzono tą samą drogą, którą odbyli kilka godzin temu. Tylko teraz jasno było od stu pochodni, które płonęły w rękach fanatycznej procesji i jaskinie powtarzały wielokrotnem echem głos dzikich śpiewów.

Nad wodą zatrzymano się i Nazir, wzięwszy nóż, przeciął własnoręcznie więzy pierwszemu z jeńców, młodemu Audzie:

— Idź śladem innych świętokradców i zbrodniarzy — zawołał i popchnął go do wody.

Auda krzyknął przeraźliwie, plusnął w nurt i popłynął, rwany szybkim prądem w nieodgadnioną ciemność. Tak samo postąpiono z drugim i z trzecim.

Pozostał tylko Ali ben Mohamed. Z godnością i powagą wodza szykował się młody amehokal na śmierć. I naraz przykro mu się zrobiło, że on, wódz koczowniczego ludu, on, który żył zawsze w słońcu, ma umierać tu, wśród tych nieprzeniknionych ciemności. Zwrócił się tedy do Nazira i poprosił, zaklinając go na dawną przyjaźń z ich rodziną, by zamieniono mu rodzaj karni i zezwolono umierać na pustyni, w pełnym blasku słońca.

Dalszy ciąg nastąpi.

¹⁾ haszysz — roślina, z której dym wywołuje odurzenie.



DOMY WE WSI HEL NA HELU.

Fot. Photo-Plat.

KRAJOZNAWSTWO.

Chciałbym mieć dywan ów
 z czarowany
 z baśni tysiąca i jedynej nocy,
 bym mógł wędrować przy jego
 pomocy
 i poznać kraj nasz ojczysty,
 kochany.
 Z żadnych obrazów, ani z ksiąg,
 ni w kinie
 poznać niesposób kraju całej
 kraszy.

Żadna wymowa wśród czterech
 ścian klasy
 cudów nie wskaże, z których nasz
 kraj słynie.
 Tylko naoczne Polski oglądanie
 jest geografji najlepszym
 wykładem.
 I krajoznawstwa jedynem
 przykładem,
 co w nas ma wzbudzić kraju
 ukochanie.

ARTUR LOREK.

Zbliżka i zdaleka.

NAJWIĘKSZA BRYŁA ŻŁOTÁ.

Największą dotychczas bryłę złota znaleziono niedawno w jednej z kopalń syberyjskich. Bryła ta waży trzy i pół kilograma.

ROZMOWY DALEKOSIĘŻNE.

Pierwsze dalekosiężne rozmowy telefoniczne na przestrzeni New-Jork—Chicago (1.500 km.), uruchomiono w r. 1892. W r. 1915 prowadzono już rozmowy telefoniczne pomiędzy Bostonem a San-Francisco, czyli na przestrzeni około 6.000 km. Dzisiaj dalekosiężna telefonja nie zna granic i praktycznie sięga od Sztokholmu do San-Francisco, t. j. ponad 14.000 km.

CUKIER Z KLONÓW.

W Kanadzie wyrabiają rocznie około 9 milionów kg. cukru z drzew klonowych. Wyróżnia się on przyjemnym i aromatycznym smakiem.

DŁUGOWIECZNOŚĆ ZWIERZĄT.

Uczeni przyrodnicy, badając wiek zwierząt, stwierdzili, że żółwie i krokodyle odznaczają się wyjątkową długowiecznością. Żyją one często sto, a czasami nawet dwieście lat.

Śród ptaków najdłuższem życiem cieszą się papugi.

STULETNIA ROCZNICA STALÓWKI.

W tym roku cały świat kulturalny obchodzi 100-letnią rocznicę wynalezienia pióra stalowego. Pierwsze pióra stalowe ukazały się w roku 1830. Ale były one zbyt wielkie, ciężkie i niewygodne i dlatego nikt nie chciał ich używać. Używano w dalszym ciągu piór gęsich. Dopiero po dwóch latach, w r. 1832 wynaleziono drewniane obsadki do piór, uczyniono stalówki małemi i lekkimi. Dopiero wtedy szybko się rozprzeczniły.

MAŁPA UCZCZONA POMNIKIEM.

W Grenoble (Francja) rada miejska wzniosła brązowy pomnik małpie, przezwanej Charlemagne. Był to szympas, ulubieniec miasta, nadzwyczaj mądry. Ubierano go jak człowieka i pozwalano mu krążyć swobodnie po ulicach miasta, ale ponieważ nie umiał utrzymywać równowagi — chodził więc na czworakach, co niezmiernie bawiło przechodniów. Razu pewnego synek jednego z radców miejskich wpadł do studni. Nie było przy nim nikogo, oprócz szympansa, który szybko opuścił się po linie w głąb studni i wydobył dziecko zdrowe. Za ten czyn dzielną małpę, gdy zdechła, uczczono pomnikiem.

NOWY SZCZEP W AUSTRALJI.

W północnej Australji odnaleziono nieznanym dotychczas szczep dzikich ludzi, mieszkających w jaskiniach. Dzikusy te chodzą zupełnie nago, a po drzewach wspinają się ze zręcznością małp. Jako broni używają włóczni i procy. Żywią się owocami, rybami i mięsem dzikich zwierząt. Jedzą także pieczone węże i jaszczurki. W jaskiniach znaleziono także bardzo ciekawe rysunki i malowidła, przedstawiające sceny z życia bóstw i zwierząt.

KTO MA NAJWIĘKSZY APETYT?

Największymi żarłokami na świecie są chyba Eskimosi. Zdrowy Eskimos potrafi zjeść jednorazowo, nie będąc specjalnie wygłodzonym, około 3 klg. mięsa i tyleż chleba. Pewien podróżnik francuski opowiada, że był świadkiem uczty, trwającej 24 godziny, podczas której 2 Eskimosów „spożyło” całego wołu. Apetyty nie do pozazdroszczenia!

Co u nas słycać.

KOCHANY „PŁOMYKU”.

Zasylamy Ci widok cmentarza poległych w Radzyminie, na którym leżą ci, którzy zginęli w wojnie w bolszewikami w roku 1920. Prosimy Cię, kochany „Płomyku”, żebyś zamieścił ten widok na swych kartach, aby wszystkie dzieci polskie przypomniały sobie o obrońcach naszej Ojczyzny.

Opiszę Ci wycieczkę po Warszawie: gdy zajechaliśmy do Warszawy zeszłego roku szkolnego, ciekawi byliśmy wszyscy zobaczyć samoloty, więc wsiedliśmy w tramwaj i w kilka minut znaleźliśmy się na lotnisku. Były tam różne samoloty pasażerskie i wojskowe, duże i małe. Były trzymotorowe, a każdy, gdy startował, to warczał przeraźliwie. Później poszliśmy do Parku Łazienkowskiego. A później do grobu Nieznanego Żołnierza. Odczytaliśmy napisy, jakie tam były wyryte na płycie marmurowej i spostrzegliśmy, że jest wymienione najbliższe nasze miasto — Radzymin.

Potem poszliśmy do ogrodu zoologicznego. Najlepiej spodobała mi się zebra afrykańska, ponieważ mogliśmy ją przez parkan swobodnie gaskać po szyi, a ona nam stała.

Żegnamy Cię serdecznie, kochany „Płomyku”.

*Uczniowie i uczennice szk. powsz. w Kotakowie.
Poczta Dąbrówka koło Radzymina.*



CMENTARZ POLEGŁYCH W RADZYMINIE.

KOCHANY „PŁOMYKU”:

Długo czekaliśmy na odpowiedź, straciliśmy nadzieję, aż tu nagle w Nr. 5 jest. Ucieszyła nas niezmiernie.

Nie zapomniał o nas „Płomyk” i my go tem bardziej polubiliśmy.

W tym roku za naszym przykładem już cała nasza szkoła prenumeruje „Płomyk” i „Płomyczek” w dwóch egzemplarzach. Wszyscy z niecierpliwością oczekują go w sobotę, chcąc się dowiedzieć dalszych losów Piotrusia, jak kiedyś Karlika i Matei.

Przy okazji donosimy o naszym sklepiku „Jedność”, który bardzo szybko się rozwija i jest teraz prawie sklepem, dostarczającym towaru nie tylko dla naszej, ale i dla innych okolicznych szkół. Od września obrót jego przekroczył już 1500 zł.

Przy sklepiku istniejąca S. K. O., pomimo ciężkich warunków, również się rozwija i każdy, choć po kilka groszy, stara się dokładać do swej sumki.

Donosimy też, że już prawie wykończyliśmy nasze szkolne boisko, na którym jest dużo przyrządów gimnastycznych i na którym tak dobrze się teraz bawić. Kosztowało nas jednak moc pracy. Wszystkie lekcje gimnastyki przez wiosnę i wrzesień poświęciliśmy na jego niwelację. Przy pracy koło boiska Pan nam zrobił szereg zdjęć, z których jedno zasyłamy „Płomycy”. Wyobraża ono nas ciągnących wóz z ziemią. Teraz, kiedy obsadzimy nasze boisko drzewkami, będzie bardzo ładnie wyglądało.

2 października, staraniem naszej drużyny harcerskiej, zostały na naszym boisku urządzone pierwsze w Rogowie zawody sportowe z nagrodami, które zdobyli sami harcerze.

Na zakończenie prosimy Cię, kochany „Płomycy”, byś więcej zamieszczał artykułów z życia harcerskiego, które nas, jako harcerzy i harcerki, bardzo interesują i jeszcze więcej wiadomości ze świata.

Uczniowie VI-go i VII-go oddziału szk. powsz. w Rogowie.



PRZY PRACY NAD BOISKIEM SZKOLNEM W ROGOWIE.

6)

DUŻO ŚMIECHU.

Przedstawienie, w którym biorą udział wszystkie oddziały: od I-go do VII-go.
Uscenizowała M. Gerson Dąbrowska.

WITEK.

Galanto się pali. *(Po chwili).*
 A nie możnaby tak tych jabłek Jaśko-
 wych pokosztować?

EWKA.

Nie! Ooo! Łasuch jaki! To na ko-
 miec, bo najlepsze.

*(WITEK podkrada się i chce chwycić
 jabłko, JULKA zakrywa je fartu-
 szkiem, EWKA odgania gałązką
 WITKA).*

EWKA.

A psik! A psik! Będziesz mi tu ła-
 sował! Janek, nie daj mu!

*(CHŁOPCY gonią się, JANEK rozło-
 żonemi rękami zatrzymuje WITKA).*

JULKA.

Oho! Leci Kazik z Baską!

WITEK.

Będzie kazanie, będzie kazanie!
(Wbiega KAZIK w czapce i BASIA).
 JANEK *(patrząc na czapkę KAZIKA).*

Moja czapka, com ją zgubił. Da-
 waj!

KAZIK *(przytrzymuje czapkę na gło-
 wie rękami).*

A nieprawda, bo moja!

JASIEK.

Widzicie go! Moja czapka, com ją
 zgubił, co mi ją tata na jarmarku ku-
 pił! Dawaj!

KAZIK.

A nieprawda — moja! Bom ją na
 drodze znalazł, w piachu leżała!

BASIA.

Juści, w piachu... w piachu...

JASIEK.

Oddawaj, bo moja! Oddawaj!
(Przyskakuje do KAZIKA).

KAZIK.

A nie dam! *(Mocują się).*

JULKA.

Olaboga! Chłopaki, nie bijta się!

BASIA.

Olaboga! Olaboga!

*(WITEK rozbraja CHŁOPCÓW, roz-
 dziela).*

WITEK.

Odczepcie się od siebie, koguty
 zatracone!

JASIEK *(z płaczem).*

Ady do moja czapka, moja! moja!

EWKA.

Przecie, że jego, oddaj mu!

KAZIK *(filuternie).*

Co znalazłem, to moje, miałem
 ostawić, żeby kto inny podniósł?

EWKA i WITEK *(zdumieni).*

Kazik!

KAZIK.

A tak, a tak, com znalazł, to moje
 i nikomu do tego nic.

*(DZIECI patrzą na siebie zdziwione,
 zaskoczone i zawstyżone).*

BASKA *(dotyka palcem każdego
 z DZIECI).*

A widzis! A widzis! A widzis!

EWKA *(niepewnym głosem).*

No, to jak będzie?

WITEK.

Ano już chyba nie będzie inaczej,
 jeno Janek jabłka Walentowej odnieść
 musi.

JULKA.

Juści, tak już wypada.

*(JASIEK poplakuje, tzy pięściami
 ociera).*

KAZIK.

No, kiedyście tak postanowili, to
 weźże, Jaśku, swoją czapkę, boć ona
 po sprawiedliwości twoja jest.

JULKA *(zbiera jabłka i kładzie JAŚ-
 KOWI do czapki).*

No, już wszystkie.

WITEK.

Lećże prędko, bo już kartofle
 w popiół idą.

*(JASIEK odbiega. DZIECI rozgarnia-
 ją ognisko i wkładają kartofle a potem
 siadają wokół i śpiewają razem).*

Przed laty, przed laty

było ptactwa wiele.

Orzeł był za króla,

sprawił im wesele.

Oj dana. Oj dana i t. d.

Gęś piwo toczyła,

kogut go szynkował,

któ go tylko prosił,

to zaraz częstował.

Oj dana. Oj dana i t. d.

EWKA.

Przegarnij-no popiół, Witek. *(Pa-
 trzy w bok).* Ady już i Jasiek wraca.
*(WITEK bierze na patyk kartofel
 i ogląda).*

JULKA.
Dobry?
WITEK.
Jeszcze nie! Ale wnet będą.
(Wbiega JASIEK z czapką pełną jabłek).
WSZYSTKIE DZIECI (zdziwione).
Nie oddałeś?
JASIEK.
Jakże nie! Jeno co Walentowa...
EWKA.
No co Walentowa?
JASIEK.
Po głowie mnie pogładziła, jabłka

podarowała i jeszcze dosypała, że będzie dla każdego po dwa!

BASIA (klaszcząc w rączki).
A widzis! A widzis!

(DZIECI śmieją się, skaczą, wreszcie biorą się za ręce — robią koło i krążą wokół ogniska, śpiewając).

Sroka tańcowała
po ławie, po stole,
a paw jej przygrywał
na grzędzie, w stodole.
Oj dana! Oj dana.

Z a s t o n a.

Obrazek ten można odegrać we wnętrzu np.: sali szkolnej, albo na powietrzu, na prawdziwej łączce, wtedy ognisko mogłoby być prawdziwe. Ognisko we wnętrzu domu trzeba naśladować zapomocą ręcznej latarki elektrycznej, osłoniętej strzępkami pomarańczowej bibuły angielskiej. Jedno z dzieci, zapalając niby owo ognisko, może je sobą od widzów zasłonić, żeby nie było widać, jak to robi. Do piosenek łatwo dobrać melodję z ogólnie znanych np.: „Idzie Maciek, idzie...”, „Leci wilk przez pole...” albo jeszcze inne w tym rodzaju.

M. Gerson-Dąbrowska.

WESOŁEK.

No i któż miał słusność, Janek czy Kazik? (Do ZABKI). Ty mówisz, że Kazik? (Do widzów). A wy, dzieci, co o tem powiecie?

(Pauza).

Tak, tak. (Potakuje odpowiedziom dzieci. Poczem mówi dalej): Jesień. Rok szkolny na dobre się rozpoczął.

ZABKA.

Dla mnie nie.

Dalszy ciąg nastąpi.

LIST NA SKRAWKU PAPIERU.

Kolego!
Jest mi smutno i źle.
Wiem, dlaczego:
rozstaliśmy się wczoraj w złości,
nie podaliśmy sobie dłoni.
...Wiem. Byłoby najprościej,
żebym cię wtedy był dogonił
i przyznał szczerze, że w tej
sprzeczce...
że... że to moja była wina.
Lecz tego nie zrobiłem.
Byłem zły,
że właśnie ty
nie wyciągnęłaś ręki pierwszy
do mnie.

A teraz wstyd
i smutno mi ogromnie,
i tak się boję,
żeby ta przyjaźń nasza cała
przez jedną taką głupią rzecz się
nie rozchwiała.

— — — — —
Ten list pisałem w nocy.
Dziś go na ławce ci tu kładę
(a serce we mnie takie rade!)
Przeczytaj. Ja podejść potem.
Przeczytaj i — zapomnij o tem,
com zrobił złego.
Ściskam ci dłoń w uściskach wielu,
kolego
i mój przyjacielu.

E. ZAREMBINA.

H u m o r.

W SKLEPIE.

- Proszę mi dać lusterko.
- Czy ręczne lusterko?
- Nie, do oglądania twarzy.

W TRAMWAJU.

Jakaś starsza pani zwraca się grzecznie do siedzącego obok niej chłopczyka, który ma mokry nos:

- Czy masz, dziecko, chusteczkę do nosa?
- Mam. Czy pani pożyczyc?

Dział rozrywek.

ŁAMIGŁÓWKA.

Ul. D. Barsachówna.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| X | | | | |
| | X | | | |
| | | X | | |
| | | | X | |
| | | | | X |

Do krerek wstaw poziomo wyrazy o znaczeniu niżej podanem, a wtedy litery, oznaczone krzyżykami, dadzą nazwę miasta, pod którym zginął król

polski. Wyrazy: rzeka w Polsce, znaczek, duża łódź, miasto w Polsce, państwo europejskie.

SKŁADANKA.

(Ułożyła Z. S.).

Poproś *Kasię* o dwie litery,
z *odroczeń* zato zabierz cztery,
dwie zaś możesz ukraść *Jagience*,
nie zrobisz tem krzywdy panience.

Sklej to razem: będziesz miał kwiatki,
których moc na łąkach rozkwita,
gdy wiosenne słońce zawita;
każdy lubi żółte ich płatki.

HALLO! TU RADJO DO WAS MÓWI!

Bardzo wesoła będzie, dzieci, dzisiejsza, środowa (16.11) audycja. Rozpocznie ją obrazek p. t. „Tańcowała ryba z rakiem”. Ale nie tylko ryba z rakiem, lecz i kapusta z kartoflem, cebulka z pomidorem, kalafior z brukselką, chrzan z ćwikłą i t. d. będą tańcowali, bo się odbędzie w piwnicy wesele ślicznej różowej marchewki z zielonym groszkiem. Jarzynki zaprosiły na zabawę weselną mikrofon, a ten Wam wszystko wiernie powtórzy. Po jarzynkowym weselu przyjdzie zagadkowy wujek Henio i *wesołemi zagadkami* uzupełni miłą audycję.

W sobotę (19.11) usłyszycie słuchowisko p. t. „*Jak to się szczęście pokumało z pracą*”, opracowane według baśni J. I. Kraszewskiego, o którym wszystkie starsze dzieci wiedzą z pewnością, że był znakomitym pisarzem i pozostawił nam w bogatej spuściznie dużo ciekawych powieści przeważnie historycznej treści.

W niedzielę (20.11) oprócz radjotygodnika „Co się dzieje na świecie” — opowiadanie „Pierwsza wyprawa Samby”. Bardzo zajmujące. Dodam, że Sambo — to mały murzynek, który pierwszy raz w życiu, sam zupełnie zapuszcza się w głąb groźnej afrykańskiej puszczy i — jak się domyślicie — przeżywa tam niezwykle i niebezpieczne przygody. No i przypominam wszystkim radjosluchaczkom, że co czwartek o g. 12.35 odbywają się w Warszawie piękne koncerty dla młodzieży, a w każdą sobotę o g. 13.15 — poranki szkolne we Lwowie (w wykonaniu Waszych rówieśników), które radio stale transmituje.

DO ADAMA DYBOWSKIEGO, JANINY FILIPKÓWNY I HELENY MIL-
 LÓWNY, UCZN. KL. IV, SZKOŁY X W KRAKOWIE, UL. LORETANSKA 18.
 Po przeczytaniu w Nr. 21 „Płomyka” opisu Państwowego Muzeum Archeologicz-
 nego w Warszawie, opisaliście nam w dwóch listach Muzeum Archeol. Polskiej
 Akademji Umiejętności w Krakowie, które zwiedziście w lutym r. b. Listy Wasze
 bardzo nas ucieszyły, bo dowodzą, że zainteresowaliście się trochę zabytkami przed-
 historycznymi i może kiedy przyczynicie się do uchronienia ich od zniszczenia. Z li-
 stu Adasia Dybowskiego widać, że umie patrzeć i że zapamiętał zabytki, które
 oglądał w muzeum. Jeżeli znaleźlibyście kiedy sami jakiś zabytek przedhistoryczny,
 albo ktoś Wam powiedział o jego znalezieniu — zawiadomcie o tem krakowskie Mu-
 zeum Archeologiczne, Sławkowska 17, lub Państwowe Muzeum Archeol. w War-
 szawie, ul. Agrikoła 9.

DO MALINY STECZKOWSKIEJ W GORLICACH. Dziękujemy Ci za na-
 desłany wierszyk. Nie drukujemy jednak utworów młodzieży. Spis utworów w roc-
 niku 1931/32 wystaliśmy, czy go już otrzymałaś? Serdeczne pozdrowienia dla
 Ciebie i braciszka.

DO SŁAWKI BONKOWICZ - LITTAUERÓWNY W ŁUCKU. Z przyjem-
 nością przyjrzelśmy się fotografii starego rabczańkiego kościółka, którą nam przy-
 stałaś. Piękne są wybrzeża Raby, piękne wzgórza i góry dokoła Rabki, nie dziwimy
 się, że Ci tam tak dobrze było. Czy już zupełnie jesteś zdrowa?

O F I A R Y.

NA SAMOLOT „DZIECKO SZKÓŁ POWSZECHNYCH”.

Klasa IV C szk. powsz. im. Emilji Plater w Końskich — 5 zł. 51 gr.

NA L. O. P. P.

Z okazji imienin swojej nauczycielki klasa III szk. powsz. Nr. 136 w War-
 szawie składa 14 złotych.

NA KOMITET FUNDACJI KU CZCI Ś. P. POR. ŻWIRKI I INŻ. WIGURY.

Kl. IV szk. powsz. w Chełmży — 7 zł. 05 gr.

Myjcie owoce i jarzyny, spożywane na surowo!

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

| | Miesięcznie | Kwartalnie | Rocznie | Nr. poj. |
|--------------------------|--------------|--------------|---------|----------|
| „Płomyk” | 1 zł. 50 gr. | 4 zł. 50 gr. | 14 zł. | 40 gr. |
| „Płomyczek” | 1 zł. 20 gr. | 3 zł. 50 gr. | 11 zł. | 30 gr. |
| „Płomyk” z „Płomyczkiem” | 2 zł. 30 gr. | 6 zł. 50 gr. | 21 zł. | 60 gr. |

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35
 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18.
 Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano
 do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
 Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Rodzina Łowiczan

Handwritten scribbles in purple ink, including a large circular mark and several lines of illegible text.